

Z Jennifer Croft
rozmawia Weronika Szwebs



Fot. archiwum prywatne

Znalezienie wydawcy zajęło mi dziesięć lat

W jaki sposób zetknęła się Pani po raz pierwszy z pisarstwem Olgi Tokarczuk? Co Panią do niego przyciągnęło?

Trafiłam na książki Olgi w bibliotece Uniwersytetu Iowa i spodobało mi się w nich wszystko. Obserwacje psychologiczne, styl jej prozy, sposób, w jaki współodczuwa ze swoimi bohaterami. Udało mi się nawiązać kontakt z Antonią Lloyd-Jones, również tłumaczką Olgi na angielski, która pomogła mi z moimi pierwszymi przekładami i skontaktowała mnie z Olgą.

Skąd pomysł, by przetłumaczyć właśnie *Biegunów*? To wynik

osobistej sympatii czy praktycznej kalkulacji?

Bieguni bardzo mi się spodobały. Pracowałam już wtedy nad doktoratem z literatury porównawczej na Northwestern University i figlarne eksperymentatorstwo *Biegunów* stanowiło idealne dopełnienie teorii krytycznej i historii literatury, które wówczas czytałam. Nie był to w żadnym stopniu wybór praktyczny. Wiedziałam, że trudno będzie znaleźć wydawcę dla tłumaczenia tej książki na angielski, biorąc pod uwagę jej niezwykłość.

***Bieguni* zostali opublikowani przez Fitzcarraldo Editions, małe,**

młode wydawnictwo z siedzibą w Londynie...

Znalezienie wydawcy zajęło mi dziesięć lat i kosztowało wiele pracy. Wreszcie udało się znaleźć kogoś odpowiedniego i od tej pory współpracuje nam się świetnie. W Stanach Zjednoczonych *Biegunów* publikuje wydawnictwo Riverhead.

Nauka języka polskiego nie wydaje się najbardziej oczywistym wyborem dla amerykańskiej studentki. Polski uchodzi za język trudny i szczególnie praktyczny, a największą część uwagi skierowanej na Europę Środkowo-Wschodnią przyciąga kultura rosyjska, co odzwierciedla nawet struktura amerykańskich slawistyk. Jeśli wybór nie jest oczywisty, to może się z nim wiązać jakaś ciekawa historia. Jak zaczęła się Pani przygoda z językiem polskim?

Mój romans z językiem polskim zaczął się właśnie od rosyjskiego. Opowiadałam moją rosyjską historię w książce *Homesick*, ilustrowanych wspomnieniach, które jesienią tego roku ukażą się po angielsku nakładem Unnamed Press, a po polsku i po hiszpańsku (który jest ich oryginalnym językiem) w roku kolejnym. W koledżu moimi głównymi kierunkami były angielski i rosyjski, a kierunkiem dodatkowym kreatywne pisanie. Kiedy przygotowywałam się do skończenia studiów, pomyślałam, że jedynym sposobem na połączenie tych trzech obszarów zainteresowań jest tłumaczenie. Uniwersytet Iowa był wówczas

jednym z nielicznych miejsc, gdzie można było uzyskać stopień magistra sztuk pięknych w dziedzinie przekładu literackiego. Na skutek dziwnego splotu okoliczności po przyjeździe dowiedziałam się, że nie mogę kontynuować nauki rosyjskiego, ale zamiast tego zaproponowano mi inny język słowiański: polski. Miałam szczęście pracować ze wspaniałym nauczycielem, Christopherem Wertzem, który uczył mnie przez dwa lata, a potem znowu mi się poszczęściło i otrzymałam dwa stypendia do Polski: FLAS i Fulbrighta. Zaczęłam w Krakowie, a potem spędziłam rok w Warszawie. Te wyjazdy bardzo wiele mnie nauczyły.

Czy nauka języka, kultury i literatury polskiej na amerykańskim uniwersytecie przyniosła jakieś intelektualne i literackie fascynacje? Jacy autorzy najbardziej Panią wówczas interesowali?

Zawsze najbardziej interesowały mnie współczesne pisarki, niezależnie od języka. Pierwszą polską autorką, nad którą pracowałam, była Hanna Krall. Następną była Olga Tokarczuk.

W jaki sposób na kształt tych zainteresowań wpłynął pobyt w Polsce na stypendium Fulbrighta? Czy w czasie wyjazdu obracała się Pani w środowisku akademickim lub literackim?

Chodziłam na zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim i w ten sposób nawiązałam trochę znajomości. Minęło trochę czasu, zanim byłam w stanie mówić po polsku. Główną

korzyścią ze stypendium było to, że zaczęłam rozumieć polską kulturę i życie codzienne. Mogłam również podróżować po kraju, co robiłam tak często, jak tylko się dało.

Polski tytuł, *Bieguni*, nawiązuje do religijnej sekty, odłamu staroobrzędowców, uznających, że jedynym sposobem na umknięcie szatanowi jest pozostawanie w ciągłym ruchu. Nazwa ta nie jest w języku polskim powszechnie znana, ale kojarzy się ze słowem „bieg” – brzmi więc jednocześnie tajemniczo i swojsko. Przełożenie go na angielski musiało być wyzwaniem. Jakie argumenty stały za wyborem tytułu *Flights*? Czy zdradzi Pani alternatywne pomysły, które pojawiły się po drodze?

Bardzo mi się podoba sformułowanie „jednocześnie tajemniczo i swojsko”. Właśnie dlatego wybrałam tytuł „Flights”, a nie „Runners”. „Runners” brzmi po angielsku jak *joggers*, biegacze. Nie jest ani trochę sugestywne. A *Flights* znaczy wiele rzeczy: *fleeing*, czyli ucieczkę, *fights of fancy*, czyli wytwory fantazji i, oczywiście, podróże lotnicze, które są wątkiem przewodnim całej książki. Uważam, że wybór takiego tytułu był jedną z najlepszych decyzji, jakie podjęłam.